

J. POWALSKI.

# .. SZTANDARY .. KSIĘCIA JÓZEFA.

Wszelkie prawa autorskie zastrzeżone.

13

Śmiał się, biegał, znosił przyprawy, urządził z trzech drągów rusztowanie do zawieszenia kociółka.

Zwabieni wieścią o uczcie schodzili się inni. Przybył Płonczyński, którego powitano krzykliwie tytułem pułkownika. On uchylił ten honor z uśmiechem nieco zmieszany, i siadając zaofiarował do użytku blaszana pokrywę kotła, którą z sobą przyniósł:

— Może być za miskę.

Wnet kociółki poczęły bulgotać od wrzącej wody. Rozdzielona pomiędzy nie mieszanina mięsa, słoniny i krup dawała się już poznać zapachami jęczącymi głód. Rozmowy to padały zupełnie, to obracały się wokół krupniku. Sendek opowiadał swoje przygody z krupami i żywnością.

— Szedłem przy pułku nocą z towarzyszymi, wtem natknęliśmy się na leżący worek. Podnosimy, macamy: coś jest, jakby krupy i coś brzęczącego i jeszcze tam. Wzięliśmy, żeby zobaczyć, jak się rozwidni. Nadedniem pułk stanął, zszedłszy z traktu w las. Ja sobie siadłem na pieńku przy drodze, i biorę ten worek do lustracji. Towarzysze, to widząc, spieszą ku mnie...

— Zdążyli na czas? — spytał ktoś złośliwie.

— Ha, właśnie, że nie! Nadciąga banda rozbójników. Widząc, że siedzę, nuże do mnie, myśleli żem zastał. Przyskakują i pytają: malad? niby czym chory. Ja im kiwam ręką, żeby szli precz drogą: marsz dalej! powiadam — marsz!

— A nos trzymał w worku, że ani na nich spojrzeć. — uzupełnił krępy oficer, który słuchał relacji z wyraźną rozkoszą i z uśmiechem od ucha do ucha.

— A was to ciekawość nie brała, co w nim było? — odrzekł Sendek.

— Dopiero oni na niego! — zawołał krępy. — Nie widzieli, że pułk stoi z drugiej strony drogi.

— Jedni z tyłu, drugi lotr zaraz za nogę mnie chwytą, żeby mi buty ściągnąć. Ja myślę: źle, wydrą mi ten worek! A były tam krupy, łyżki, słonina i chleb był. Więc ja ten worek pod siebie, przysiadłem, dopierom miał ręce wolne. Jak nie chwycę!... Tego z przodu...

— Ale jak go chwycił, tego z tyłu, to go przecież tak w mig za łeb przeciągnął przed siebie, jak kocię, i tego, co go za but ciągnął, drugą ręką za kark łapie, i dopiero ich tłucze łbami, jakby dwie rzepy chciał otrzepać z ziemi. Potem ich ciska przed siebie w śnieg.

— No, no! — poszedł podziw po zgromadzonych.

— Jak kocięta, mówię wam, zupełnie, jak kocięta!

— Może nie należało się im? — spytał Sendek, groźnie marszcząc brwi.

— Jeszcze skoczył za resztą, i płażował ich rapierem jak barany, i tak gnał przed sobą, że aż się kurzyło.

— A worek? — zawołał ktoś.

— Ale! — zawołał Sendek, — wziąłem z sobą!

— No, — zauważył któryś, — byli przecież koledzy do odsieczu.

— Oni? — rzekł Sendek, — leżeli ze śmiechu na ziemi cały czas.

— Cośmy potem mieli za uciechę! — zawołał krępy oficer uszczęśliwiony, — przyszliśmy do miasteczka: jest ta banda. Dopieroż jak zobaczyli Sendka między nami, wypychają tych ze swoich, co się na niego kusili! bierz-że, to ten chory oficer! i śmieją się. Sendek tylko im rapierem grozi: czekaj, hyclu! Nasi żołnierze też się do rozpuku śmiali.

— Oj śmiali się, śmiali, bo głupi, — rzekł inny. — I żeby taka wczesna zima jak raz tego roku. Prze-

cież kiedyndziej to w listopadzie jeszcze stokrocie kwitną, a na pierwsze dni grudnia ponowę urządzają.

— To u nas, — odpowiedział mu sąsiad, — nie w tym przekętym kraju. Mówili mi, że naprzykład ludzie, którzy jeszcze dalej na północ mieszkają, na zimę zasypiają jak borsuki, i wiele w tem musi być prawdy. Stąd ich ciężkość i mały dowcip a dziłkość wielka.

— Śmieję się z tego waćpan, — rzekł młody oficer w damskiej szubie. — Klima srogie i mroźne tych północnych krajów tak ludzkie charaktery kształtuje, nie sen. Człowiek nie jeź, ani borsuk.

— Do broni! — krzyknął Sendek, zdejmując pokrywę z kociółka.

Wszyscy pochwycili łyżki, by być w gotowości. Wnet zawartość kociółków powędrowała na różnorodnych miskach, pokrywach, talerzach i garnuszkach w ręce kompanii zebranej. Byli w niej nietylko oficerowie, ale i żołnierze. Wogóle różnica stopni zacierała się we wspólnej dla wszystkich srogości losu.

— Panowie! koledzy — bracia! — zawołał nagle

— Niech przyjdą! Niech przyjdą!

Wszczął się ruch, wszyscy wstawali z ziemi, a inne ogniska pustoszały; słysząc taki krzyk, tłoczyli się wszyscy tutaj.

Przyprowadzono orłowych. Było ich pięciu, po dwóch z pułków dwunastego i piętnastego i jeden kirasyer. Przyszli ze swobodną pewnością siebie. Piastowanie orłów oblekało ich w dostojność, przez którą równi się czuli każdemu z komenderujących. Godność ich była charakteru mistycznego, i nie miała wyraźnie nakreślonych granic.

Sztandary przynieśli ze sobą, zwinięte na drzewcach i okręcone galganami. Orłów srebrnych, które kończyły wierzch drzewca, nie było. Zwrócili na to uwagę oficerowie.

— Mają je, mają! — rzekł Płonczyński.

— Mamy — powtórzył kirasyer.

Siegnął w jakieś skrytki swego odzienia i po chwili z trudem wyciągnął na wierzch orła srebrnego. Tamci wydobyli swoje.

— Są nasze kukulki, — rzekł orłowy piętnastego pułku z dumą.

Orłowy dwunastego pułku był zacięty, milczący, znać było w nim przysięgę złożoną sobie bronić orła na śmierć i życie. Orłowy piętnastego pułku miał minę człowieka zimnego, przemyślnego, którego nic nie stropi, gdyż czuwa w nim nieustanna baczność. Kirasyer miał postać płonącego wewnętrznym ogniem wyznawcy. Został sam ze swego pułku, który się trzymał jeszcze, mając czterdziestu ludzi i eskortując nimi dwadzieścia siedem dział. Gdy stopniała ta garstka i działa przejęli pod opiekę inni, on został jako jedyny ze swym orłem symbol walecznych, którzy zginęli, i walecznych, którzy pod ten znak znów przybędą.

— Panowie — rzekł Płonczyński z powagą — pozdrówcie go. To jest ostatni z pułku.

— Nie ostatni, — odparł niespodzianie kirasyer, — czekają już nowi w Warszawie na jego powrót. — Wskazał orła.

— Niech żyją kirasyery! — krzyknęto z dalszych szeregów.

— Niech żyją orłowi!

— Panowie oficerzy! — rzekł kirasyer, gdy przeszły okrzyki. — Niema tu nasze życie wagi, bo nie będzie nas, tedy inny kamrat z gotowością do tej służby stanie.

Żołnierze za nim zamruczeli potwierdzająco.

— A waga ino jest w samym standarze. Tedy ja podniosę ten inny głos, a proszę was do niego się przyłączyć: Niech żyją nase standary.

Przyjęto ogromnym wiwatem ten okrzyk. Szopa buchała takim gwarem, że aż nienależący do pułku cisnęli się zobaczyć, co się dzieje. I obracając się, Ignacy ujrzał przy sobie zniecka Ptysia.

— Ptyś! Wy tu? — krzyknął, tracąc prawie dech z niewytłomaczonej radości.

— Oj, panie kapitanie! Juści żeśmy są! O, to pan kapitan żyw jest i po ziemi chodzi!...

— Działa! działa! — przerwał mu Ignacy, — macie? Wszystkie są?

— Wszystkie! — rzekł Ptyś sumiennie. — A my myśleli, że pana kapita... —

— Tutaj? — pytał Ignacy gorączkowo.

— Nie, w drugiej ulicy zatoczyli...

— Kto wami dowodzi?

— Niby teraz to pan kapitan Szymanowski... Myśwa myśleli, że już pan kapitan...

— A porucznik Straszewicz?

— Zmarł — odrzekł Ptyś. — Jakoś będzie trzy dni... Pochowaliśmy go, a jakże.

— A iluż was jest?

— A będzie ze dwudziestu.

— Dwudziestu!

Ignacy nagle wspomnił swoje zawiniątko z żywnością, które trzymał w ręku.

— Jedliście? — spytał.

— Tam który ma, to i zjadł. Ja to tam nie jeszcze.

— Aha... No, bierz to, trzymaj. Zaraz pójdziemy.

— Niechta! — rzekł Ptyś, — tu lepiej. Niech się już pan kapitan tu przenocuje.

Ciąg dalszy nastąpi.



— Są nasze kukulki, — rzekł orłowy piętnastego pułku z dumą

Sendek, — proponuję uczcić wiwatem porucznika Jasia Zakrzewskiego, który... z którego... Który jechał z ładunkiem żywności na całą drogę aż do Wilna, i w jeden wieczór wszystko utracił, wyprawiając nam tę ucztę z braterskiego serca!

— Niech żyje! Niech żyje...

— Nie! — oponował Jaś, zrywając się, — tak na sucho? Dawajcie naszą flacę! — zawołał na swych kompanów podróży.

Pojawiła się flacha, i poszła kołem, gdyż nie było kieliszków.

— Koledzy! — odezwał się wśród wrzawy Płonczyński, — koledzy! Proponuję przypuścić do równego udziału...

Mowa jego nikła w zgietku. Bliżsi jednakże poczęli rzucać się i krzyżeć o milczenie i uwagę. Płonczyński wobec tego po paru próbach dał się zrozumieć.

— Orłowi — rzekł — z największym męstwem, usilnością i dbaniem piastują nasz sztandar pułkowy. Trzeci raz się zmieniają, gdy poprzednicy padli.

— Dawajcie suchów! Zaproście ich tu! — zawołano.

— Prócz tego są tu orłowi także piętnastego pułku piechoty, i orłowy jeden ze sztandarem z pułku kirasyerów Małachowskiego...